№ 14.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1840. Poznań, dnia 8. Kwietnia.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi raz na tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na rok talarów 8, na pół roku talarów 4, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Jakto dawniéj kochano.

Rycerz jéj w oczy rękawiczkę rzucił:
Pani! twych wdzięków nietrzeba mi wcale —
To rzekł — i poszedł — i nazad powrócił. —
z *Szyllera.*

Bogdajto stare czasy, stare obyczaje! stadła kojarzyły się bez długich korowodów: upatrzyłeś sobie bogdankę, jużci i ruszasz na łęczyński jarmark — gdzie jeśli cię rostrucharz niewywiódł w pole — zajeżdżasz tęgą czwórką z jakim panem swatem przed ganek, palisz pannie komplement — mieniasz sygnecik — już i plackiem do nóg rodzicom, już i weselisko! — Nieraz się zdarzało, żeś ledwie raz widział swoją przyszłą, a szedłeś do ołtarza; — bo państwo rodzice zapowiedzieli z góry: »upatrzyliśmy dla waści pannę, posażna i sudanna; trzeba jechać, zaprezentować się, a głową niepodrwić;« i tak się stało — co starzy uradzili, od tego młodemu zasię; — czwarte przykazanie miało wymownego tłumacza w boćkowskim kaznodziei. —

Pięknežto musiały bywać i stadła, w których serca szły za rozkazem, nie za własnym popędem?! — zawoła z wielkiém zgorszeniem jaki Sęsymonista, lub jaka zwolenniczka anti-małżeńskiéj pani Sand. Jako? bez poprzedniego romansu? bez zrozumienia się dusz i nastrojenia ich na jeden kamerton uczuć? bez dowodów długiéj stałości? bez napisania przynajmniéj tuzina sonetów? bez pojedynku kończącego się szampanem? bez rozpaczy Wertera? (ma się rozumieć z mniéj tragicznym końcem) bez kopy listów dla wprawy w języku francuzkim? a najbardziéj bez psychologicznéj dyssertacyi o miłości? — Piekło domowe i nic więcéj! —

Raj na ziemi! powiedzcie, raj! Najprzód, kto wie, czém jest poezya miłości, ten mi przyzna, że miłość w małżeństwie powinna być gładką, bardzo gładką prozą — tak gładką, jak naprzykład Telemak — ażeby więc rym małżeński udał się szczęśliwie — czegoż więcéj potrzeba, jeśli nie rozumnego, obliczonego szyku wyrazów; dytyrambiczne wytryski śmiechuby tylko nabawiły posiadających siebie nawzajem małżonków. Nie w ciemię bici też byli nasi starzy, kiedy wprzód synala okarmili prozą, tak, że już potém skrzydełka fantazyi nielatały wyżéj nad domową strzechę. — Dawniéj, o ciemnoto! jakże mało umiano nazywać uczucia, anatomizować je, odgadywać, wmawiać w siebie i drugich; a serce — oklepany ogólnik! iście było podobne do staréj dobrze zakorkowanéj butelki wina; gdy dziś, cześć towarzystwom wstrzemięźliwości! najczęściéj wodą słów bywa ochrzcone, lub zwietrzałe. Dawniéj, o prostoto! kawaler sęsat, panna wstydliwa, po weselu dopiero zaczynali uczuciowe życie, które im pachło przez wszystkie srebrne i złote wesela..... a dziś.... cześć wam romanse! flakonik sentymentów odetkany zawcześnie wonieje wprawdzie aż do zawrotu głowy, ale z końcem cukrowego miesiąca już się ulotnił ów olejek różany.... — Dawniéj, o barbarzyństwo! jegomość tupnął nogą aż się szyby zatrzęsły, albo nalawszy w pałkę zaczął stroić firleje i jéjmości odstrzeliwać korki, przecież zakonserwowany wzajemnych sentymentów dzwonek loretański, potrafił burzę rozpędzić, wydzwonić z pamięci, i komuś trzeciemu niedać wściubić nosa... — a o rozwodzie, jak o grzechu śmiertelnym nikt niechciał ani słyszeć. Dzisiaj, niech żyje ton dobry! Pan mąż z panią małżonką

14

prowadzą się na pasku chłodno-ckliwéj delikatności — oddają sobie wizyty o pewnéj godzinie; on wyszarmantowany, ona wypiękniona, usiłują bawić się nawzajem — potém układają projekta o wychowaniu dzieci, których się nigdy niemogą doczekać; w takich dysputach on zwykle niema swéj woli tylko jéj, a ona tylko jego wolę, a przecież niemogą trafić do ładu — z tego wynika małe nieporozumienie — z nieporozumienia kwasy — daléj ktoś się nawija, co umie odgadnąć zapoznaną przez męża kobietę — jestto mężczyzna blady, prześladowany od losu, interesujący.... on odbiera małe zwierzenia się, potém większe, w końcu zostaje jéj przyjacielem i nic więcéj.... — bo dzisiejsza kobieta, która jeszcze niestanęła na ostatnim szczeblu teoryi emancypacyjnéj, niezbacza z drogi obowiązków, tylko mężowi gorzko uczuć daje, że pełni obowiązki...... Taka rola ofiary udaje się rok jeden, drugi, aż w końcu pękają ogniwa przymusu, i ofiara przechodzi w opiekę powiernika.... —

Dziwneto się myśli ci plączą, ilekroć wywleczesz stare czasy, i postawisz z nowemi — rzekłbyś dwa obrazy, których mistrzowie wiecznie o prym się kłócą — jeden będzie malowany ręką jakiego Rafała: niewidziałeś takich ludzi na oczy, i może ich nigdy niebyło, a oni zakrzyczą ci w duszę — drugi będzie odbijał w zwierciedle flamandzką rzeczywistością znane ci osoby — podobne! zawołasz — i odejdziesz zimny. Otoż przyczyna, dla czego taki urok mają stare czasy — otoż przyczyna, dla czego je lubię, mimo że tyle złego na ich karb nakładziono — lubię je, choćby dla ich całości — teraźniejszość bowiem zawsze jest tylko fragmentem — a ja na zabój niecierpię fragmentów. — Lubię je, choćby nareszcie dla owéj butelki dobrze zakorkowanéj — dla prostych i czerstwych uczuć. — Jeżeli zatém nieprzebrałem waszéj cierpliwości tym wstępem, który przy reszcie mego opowiadania może wyglądać jak łeb koński w recepcie Horacyusza, pozwólcie ucha dość prostéj, a jednak niepowszedniéj przygodzie. Słyszałem ją z ust pewnego staruszka, co znał i miejsca i osoby, i co opowiadał ten wypadek bez wszelkich estetyczno-moralnych zastósowań, któremi ja wiedziony zasadą filantropii, jak niegdyś ad usum Delphini, tak dziś pro publico bono, tu i owdzie proszony, nieproszony, szpikuję. —

Ktokolwiek choć z podania zasłyszał o naszych wielkich dworach, świecących resztą blasku za ostatniego króla, ten musi wiedzieć, że książę marszałek koronny Lubomirski był pan całą gębą, żył jak za czasów Sasa, i chował dwór jakby drugi Ostrogski. — Bywało, kiedy pod jesień zjeżdża z Warszawy do swego Janowca, to cała karawana ciągnie się dobrze trzy mile. — Cóżto dopiero za sądny dzień, jak wszystko się zwali!! — Murgrabia i marszałek aż w głowę zachodzą, kędy pomieścić tyle gości sproszonych — i te fraucymery, i respektowych, i muzykantów i komedyantów, i Bóg wie jakich tam przybyszy; — to téż zamek, choć taki piętrzaty i w kadrat zabudowany, niemógł często wystarczyć, i aż plebania i gospody żydowskie na dole biegły mu w pomoc.

Dzisiaj, kto zwiedza te mury i popatrzy na dach zerwany czy zapadły — na te osypane ściany, co zaległy dziedziniec, na te zarosłe pokrzywą i ostem fosy, na tę bramę, co ogołocona z zapor i zwodzonego mostu, otwartą gębą wita przychodnia, jakby mu chciała coś powiedzieć, lecz z żalu niemoże.... — ten trudno, aby pośród takiego zniszczenia przypuścił, że ledwo lat sześćdziesiąt temu, po tych galeryach brzmiała huczna kapela, w tych komnatach biesiadującéj szlachcie kurzyły się czupryny, gdy chwytając za stopy pili zdrowie pryncypała; że po tych mozajkowanych posadzkach szastały się ogony, a z tego okna narożnéj wieży, co patrzy na las, piękna Krasińska wyglądała swego królewica kurlandzkiego..... Przecież nie tak dawne to dzieje!... a z zamkowéj cegły żydek i mieszczanin wyprowadził niejeden komin, lub podmurował ścianę. — Włościami magnata podzieliła się ta sama drobna drużyna, którą żywił i odziewał.... Ze śmierci rodzi się życie — tak zawsze bywało, i będzie — niema czego żałować...

Otoż jak mówię, książę marszałek zjechał był pod jesień z całym dworem do Janowca. Co robił książę, co robiła księżna? — do mojéj powieści niewchodzi — to pewna, iż aby pogoda, wymyślano przejażdżki konne i wodne, łowy, serenady — obiady — tańce — iluminacye, ognie sztuczne i różne przeróżne siurpryzy; lecz mimo tych zabaw często się zdarzało, że książę i księżna na śmierć się nudzili; nie żeby im na czém schodziło, ale że zwykle brakło już konceptu do nowéj rozrywki — zgoła na tym dworze było jak na onéj wyspie roskoszy, gdzie trzeba było apetyt na porcye kupować. Jakoż od pierwszego zausznika pańskiego do ostatniego pachołka, wszyscy opływali jak pączki w maśle, a najbardziéj ci, co niemieli nic do roboty, jeno zjeść i wypić, chędogi wdziać kontusik, nadstawić szwedzkiego wąsika, księstwu asystować do kaplicy lub z wizytą, — a resztę czasu cholewki smalić do białychgłów, lub zeszedłszy się prawić androny przy flaszy, która zawsze jakby za pomocą

cudownéj lampy Aladyna, przełamywała wszystkie rygle i kłódki pańskiéj piwnicy.

Z szlachty respektowéj, stanowiącéj główną okrasę i pompę dworu, wodził tam rej przed innymi niejaki Szczuka. — Ród jego podobnoś na Podlasiu gęsto osiadły, nieopływał wprawdzie w dostatki, ale w dobre imię, i słynął zaciętym charakterem, który może familii téj został po owych sławnych Jadźwingach. — Ojciec pana Gabryela, niewielkiego przysiołka posiadacz, dawał syna do Jezuitów w Łukowie, a po skończeniu Sintaxim sub magistro Smaga, do palestry Lubelskiéj, skąd za wysoką rekomendacyą jw. marszałka trybunału, któremu był siódmy kół w płocie, dostał się dla dalszéj karyery na dwór księcia pana. Fawor ten wszakże niebył nad wartość osobistą pana Gabryela; zdobiły go bowiem niektóre przymioty popłacające podówczas, przymioty, któremi jeśli nie wysokiego urzędu w rzeczypospolitéj, przynajmniéj pięknego dożywocia dochrapać się było można. — Najprzód: był okazałéj postawy, rumianego lica, oka dużego, i nosa, co się lekkim zakrzywiał łukiem — z panami milczący — lecz zagadniony odpowiadał jak z bicza trzask — a wyraz: niewiem, niepodobna, niema sposobu — wymazany był z jego dworskiego słownika — na rozkaz pana lub pani, pan Gabryel o wszystkiém wiedział, wszystkiego dokazał, stworzył. — Taka efronterya szczególniéj miała wziętość u księżnéj pani, co lubiąc jak każda niewiasta, aby jéj kaprysom dogadzano, zawsze mawiała: »zawołajcie mi Szczukę, on zaraz to zrobi, on się o to postara, on coś wymyśli«.... — i pan Gabryel najczęściéj choć nic niewskórał, ani wymyślił, przecież tak wyperswadował księżnéj pani, tak miną nadrobił, że zawsze była zadowoloną — a buzią téż wprawnie gdzie potrzeba umiejąc harcować, nielada komu ustąpiłby w argumentach. — Pospolita rzecz przy dworach, że ci, których fawor pański nad innych wynosi, przystrajają się pewnym rodzajem dumy, nieznośnéj dla reszty; język dworski zowie to: zadzieraniem nosa do góry; ale p. Gabryel, pamiętając jeszcze od ojca maxymę »o pstrym koniu,« zawsze jeśli nie ku środkowi ziemi, to równolegle do niéj, nosił ten barometr pychy, aby nieprzyszło mu kiedy spuścić go na kwintę — dla tego z równymi sobie żył zabrat, w kompanii lubił wypić i wybić się, niepożałował konia lub słuckiego pasa, gdy który z chudszych sunął gdzie w kunkury; ba i groszem cię zasilił, jeśli się kiedy co w mecherzynie zawieruszyło, bo lubił putać jeno się okazyjka trafiła, mówiąc: »znajcie pana po cholewach!«

Dla uzupełnienia panegiryku pana Gabryela można i to dodać, że w każdéj, czy to publicznéj czy prywatnéj okazyi, gracko się spisywał, a przenigdy wstydu nieściągnął na dwór, któremu służył — bo to za dawnych czasów przysłowie: »jaki pan, taki kram« — więcéj niż dziś wartało. Dworzanin reprezentował swego pana, niby ambasador potencyę, i daleko godniéj, niż dziś jaki dyspozytor lub kamerdyner w galonach, któremu wolno drzwi zamknąć przed nosem. — Takto z każdym dniem gdzieś się podziewają stare obyczaje — klientela dawno już wyszła z mody — a służba!.... mój Boże!... co niegdyś była zaszczytem, zamieniła się w kontrakt: póty służę, póki płacisz — i niema czego żałować, powtarzam swoje. Owoż pan Gabryel i na sejmiku, i w trybunale, i w kompanii zaraz szerpentyną odpowiadał, gdy kto nieforemną mową honor księcia pana nicował, dla tego dobrze się go bano i rzadko właźono w oczy, dla tego i u księcia marszałka szczególniejsze miał zachowanie, który nie raz, nie dwa, dawał mu do zrozumienia: »wyjdziesz u mnie na człowieka mój Szczuko, tylko służ jeszcze, bo zasłużeńsi sarkaliby na prędkie twoje wyniesienie. Otoż panu Szczuce wiodło się jakby wianki wił, jedno z drugiego, a coraz lepsze i lepsze: i koniki, i bryczeczka, i różne porządeczki, jak na kawalera przystało — wszelako, choć posiadał fawor pana i pani, i przyjaźń wszystkich panów pokojowych, a nawet i liberyi — przecież jedna część dworu, a część niepospolita, była bij zabij na niego i zawsze knuła przeciw niemu spiski, albo płatała figle, którym się jak mógł oganiał — tę część dworu stanowiła garderoba — przyczynę do takiéj zawziętości dało, czyto dziwactwo, czy wyrachowanie, czy wreszcie jakie uprzedzenie do płci niewieściéj pana Gabryela — albowiem ani czart od święconéj wody, takby niestronił, jak on od wszystkich biało-szyjek — naprożnobyś go upatrywał na owych szarych godzinach, kiedyto dworskie celadony przysiadłszy na kuferkach prawią strzeliste afekty paniom duszkom — pan Gabryel woli leżeć u siebie i belki rachować. — Niechże księżna pani wyprawi balik dla fraucymeru, to wszyscy aż skaczą z radości, on tylko obojętny — panowie bracia mówią: »pójdziesz z nami panie Gabryelu, bo dalibóg będziem się rąbać« — i wyciągną — i kiedy kapela gra, dzieweczki skaczą — on stoi pod piecem i żadnéj niewyzywa, chyba go wyprowadzą na siłę, to jeszcze i wtedy obracają nim jak lalką w wertepie — niebyłci to jednak zmyślony świętoszek — bo przecież w Warszawie jest białogłowskiego towaru, i jakiego towaru, co to umieją cię i oczkiem

i loczkiem, i nóżką i muszką, tak uszychtować, że już twój rozum nietrafi do kwatery, jak raz wyskoczy za którą — bo przecież i panny respektowe i cały fraucymer, jak łątewki jedna w drugą kształtniejsze, a do tego prawie pod nosem, jemu to wszystko niepachło. — Było też gadania i domysłów na dworze; jedni zmawiali: to z cicha pęk, drudzy, że kiedyś musiał się sparzyć; inni, a mianowicie panny — że może gdzie wysoko patrzy, a nas niema i za Boże stworzenia — ostatni ten domysł ledwie nienajlepiéj odgadywał stan jego myśli. — Pan Gabryel, wybierając się w świat z domu ojcowskiego, przy zwykłém napomnieniu ze stoma tynfami i podjezdkiem, dostał był jeszcze w dodatku naukę: »do lat trzydziestu wara podwiki!« — Grzmiący głos pana rodzica, widok na kołku kańczuga, tak mu wraziły mocno to przykazanie, iż daleko dłużéj by je pamiętał, niż żydzi na puszczy — stąd nietylko dotknięcie się, ale sam widok córki Ewinéj głuszył w nim wszystkie pokusy szatańskie, które nielitościwa natura powpuszczała jak żądła w krew naszą. — Zważając wszakże na ułomność przyrodzenia człowieka, niewiadomo, jak długo pan Gabryel byłby wytrwał wśród roskosznego dworu, gdzie pan i pani otwartemi drzwiami przyjmowali galanteryą francuzką — wprowadzającą za sobą metresy, budoary, balety, kolacyjki na przedmieściu, pustelników słuchających spowiedzi, faraona, i manię filozofowania à la Wolter, najpewniéj przykład byłby go pociągnął, jak pociągnął wielu, gdyby znowu w pomoc mu nienadbiegła duma rodowa. W duszach gorętszych jeśli nie ta, to druga namiętność musi panować. — Niechno się człek czego dorobi — mawiał nieraz — to i pewnie że niebędzie wysokich progów — przecież Szczuka stary szlachcic, tak jak i Lubomirski — a dygnitarstwo? tytuły? wszystko idzie za szczęściem — dziś panowanie faworytów..... Stąd pana Gabryela niewiele obchodziło, czy tam która szczerzyła doń ząbki lub nie, czy się dąsała, czy zaprzysięgała zemstę — on zawsze nadskakiwał panu i pani — liczył przyjaciół na kopy — pił dobrze, jadł za czterech — drwinkował z tych, co bladzi jak cienie jęczeli nad okrucieństwem swych bogiń, i tylko czasem, kiedy się zamyślił niewiedzieć dla czego, powiadał sobie: »lat trzydzieści za pasem, fortuna jedno słówko pańskie, cierpliwość Gabrysiu, cierpliwość!«

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Domy i zatrudnienia Polaków w XV. i XVI. wieku.

(Ciąg dalszy.)

III. Dom zagonowego szlachcica i chłopa.

1. *Drobna szlachta i chłopi.*

Z panami pobratała się szlachta i wyszła na panów. Dopóki ona narodowe poważała zwyczaje, gmin pociągała ku sobie, na szlachtę go kierując. Bo gdy wojsko narodowe składało się z rodów, a każdy ród pod własną chorągwią, rodowym oznaczoną herbem, walczył w szyku wojennym, przeto szlachta chętnie do spólnictwa swego i do herbowego klejnotu przypuszczała ludzi gminnych wolnego stanu, ażeby tém więcéj wyprowadzać mogła klejnotników pod rozwiniętą do boju chorągwią [1]). Nieraz człowiek prosty do herbu przyjęty, nawet nazwiska klejnotu swojego nazwać nieumiał [2]), ale mimo to pysznił się z niego, wiedząc o tém, że będąc ozdobiony herbem, został synem koronnym i młodszym bratem starszych swoich braci (tak uboższa nazywała bogatszą szlachtę), których tażsama matka ojczyzna co i jego porodziwszy, do jednychże z nimi przypuściła go swobód [3]). Panów nielubił, bo ci zaledwie kiedy niekiedy bratali się z drobną szlachtą, z potrzeby tylko wdając się z szujami (tak panowie uboższą nazywali szlachtę). Wiedział o tém, że jeżeli drobny szlachcic uda się pod opiekę bogatego pana, niezostanie jego bratem, lecz prawie wazalem, i będzie musiał to czynić, co mu rozkaże tamten [4]). Powodując się zdaniami starszych braci, niebrał się szlachcic drobny do przemysłu i handlu, orał rolę jak kmieć, bądź własną, bądź na czynsz wziętą. Los swój poprawiał jedynie bogato się żeniąc, zostając księdzem, albo służąc u dworu, lub w wojsku narodowém [5]).

Gruby był głos kmiecia [6]), a postać rubaszna. Rodzili się gburowie by żubrowie silni. Mawiano, że chłop jeszcze w .... matki utyje by prosię, urodzi się jak cielę, a urośnie jak wół [7]). Jakie było ciało, taka i dusza: pełno w niéj było zabobonów, pełno guseł i przesądów. Ale w niém biło serce poczciwe, ale to ciało ożywiała miłość ojczyzny, bynajmniéj nieustępując w téj mierze panom i szlachcie. Chłop wybierał dni szczęśliwe do pracy (za najszczęśliwszy miał dzień MłodziankÓw) [8]), a pracując oglądał się na księdza plebana, i podług jego nauk kierował swe kroki.

[1]) Gorn. rozmowa str. 11. [2]) U Papr. herby str. 190. mówi drobny szlachcic: niewiem, któregom herbu, ale gdy na wsi na gwałt wołają, mówią: »półkoza, pół-

koza!« [3]) Bembus w kazaniu *na pogrzebie Adama Czarnkowskiego*. Sarbiewski w kazaniu *laska marszałkowska*. [4]) Bielski, kron. str. 577. Gornick. rozm. str. 70. [5]) Z rękopismu ówczesnego w Pamiętn. Sandomirskim II. str. 214. [6]) Gorn. Dworz. str. 57. [7]) Rej, Żyw. 7. [8]) Czarownica powołana str. 28.

2. *Mieszkanie i ogródek.*

Bieda była u chłopa i u zagonowego szlachcica, gdzie niebyło koni i wołów, kura i kokoszy, a bydło nędzne; gdzie jedna krowa niewstawała z niemocy, a druga niedawała mleka; gdzie za wyborny kąsek miano flaki, gdzie komora była pusta, a za cały jéj mebel stało łoże [1]). Ale gdzie był chłop rządny, który nietylko za dnia białego, ale i przy lampie, albo kagańcu tłustym dobrze postanowionym (przy kagańcu pełnym tłustości) [2]) pracował z żoną aż do zdechu (usilnie), wszystko było inaczéj. Do jego dziewek rzescy przyjeżdżali pachołcy na konikach rączych, brząkając ostroskami (ostrogami). Sypiały one w puchu, pierzyny tak dostatnie mając, że niemi wygodnie na nogi i na głowę przyodziać się mogły [3]).

Po nad Bałtykiem lud prosty zamieszkiwał chaty, w których małe, niskie, a długie były izby. Wieczor i rano gorzał w tych chatach ogień wielki na kominie. W pośrodku komina żelazo wisiało, nakształt kraty zrobione, na którém kładziono łuczywo dla oświecania mieszkania: pod spodem kraty leżało korytko z wodą, w które wpadały węgle z owego łuczywa. Tamto wieczorem siadał gospodarz z czeladzią i czynił porachunek całodziennéj pracy, doglądając oraz i dobytku w koło rozłożonego: bo bydło, drób i reszta bogactwa gospodarza, z nim razem przemieszkiwała w chacie. Tymczasem kubek z rogu bydlęcego zrobiony krążył w około z napitkiem [4]), posilając chłopa i jego czeladkę.

W ogródku chłopka rosła kapusta, włoski oset, Bernardynkiem nazywany (z przyczyny, że Ojcowie Bernardyni radzi sobie sadzili to ziółko), łocyga czyli polna sałata, słonecznik, włoską konopią inaczéj zwany, a szczególniéj też goździk i szałwija, kwiecie i ziółko od wiejskich ulubione niewiast [5]).

[1]) Z kiermaszu wieśniackiego, z pieśni II. [2]) Oczko, przymioty, str. 31. [3]) Kiermasz, pieśń V. [4]) Gwagn. opis ziemi Żmudzkiéj, str. 25. [5]) Marcin z Urzędowa, str. 57, 73, 179, 215. Kiermasz wiejski, pieśń VI.

3. *Czeladź u gospodarza.*

Okazałość chłopskiéj chaty stanowiła czeladź; za jéj moralne prowadzenie się był odpowiedzialny gospodarz plebanowi. Gdy się ksiądz dowiedział, że która z dziewek źle się prowadziwszy utraciła wianek, donosił o tém do dworu, a gospodarz za karę składać musiał pewną summę, co bykowem zwano. Niejeden więc gospodarz czeladkę swoją trzymał gorzéj niż w klasztorze, do karczmy jéj chodzić niedozwalając, gdzie dziewczęta snadnie podpadały nieszczęściu. Wyrozumiały gospodarz pozwalał czeladzi w niedzielę zabawiać się w karczmie tańcem, sam pilnował domu [1]), a kiedy w dzień powszedni rozdał pracę parobkom i dziewkom, wtedy dopiero udawał się na ochotę do karczmy.

[1]) Szymonowicza siel. 9.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kilka listów z nad brzegów Renu.

Pisane do *T. M.* przez *S. W.*

(Ciąg dalszy.)

List siódmy.

z Moguncyi.

Z tego nudnego Mannhejmu ruszyłem przed wschodem słońca, a mogę mówić, że nawet raniéj; niebyło więcéj jak druga po północy, kiedy hausknecht, mający z wczoraj polecenie zbudzić nas wszystkich, którzyśmy odpływali, — statek bowiem wychodził bardzo rano, — wszedł z trzaskiem do mego pokoju i na gutmorgen w same oczy świecę postawił. Zerwałem się, niespojrzawszy nawet na zegarek; słyszałem, jak koleją otwierał potém drzwi u moich sąsiadów i sąsiadek; w kilka minut byłem gotów; — a gdy z workiem podróżnym pod pachą, który notabene mam jeszcze z Warszawy ze sklepu Czabana, a który na palcu sobie zawiesiwszy, mogę śmiało zostać filozofem i powtórzyć sławne omnia mea mecum porto, zszedłem na dół rozpłacić się i spieszyć na statek, — pokazało się nic więcéj, tylko żeśmy mieli jeszcze ogromnych dwie godzin czasu! O niegodne, złośliwe knechcisko!... Tłumaczył się, że bał się, abyśmy się niespóźnili, że niewiedział sam, że jeszcze tak rano, że to, że owo; ale cała rzecz: oberzysta, aby przymusić do śniadania, kazał pewno umyślnie pobudzić; stół też był już nakryty. Zgadliśmy ten interes wszyscy od razu, było nas siedm czy ośm osób, i na złość, żeby łakomcę ukarać, zawiązaliśmy w mgnieniu oka, nic nawet do siebie niemówiąc, generalną między sobą koalicyą; powiedział każdy, że nic jeść ani pić niebędzie. Rozsiadłszy się więc po kątach sali, bawiliśmy się poziewaniem, przez kwadrans, potém przez drugi, potém przez trzeci; dzień ledwo się zaczynał pokazywać; już Niemiec niezawodnie byłby przegrał: ja pierwszy chciałem iść ku rzece i tam czekać, żeby tylko

cokolwiek jeszcze widniéj się na dworze zrobiło... — ale mały chłopaczek, który był między nami, uprosił sobie u matki, że mu nasmarowała kawałek chleba i przyłożyła na wierzch kilka rzodkiewek. Malec, jak gdyby był w zmowie z naszym nieprzyjacielem, zaczął chrupać rzodkiewkę na całą salę, i zrobił uwagę, że chleb był jeszcze ciepły, tak świeży. — Niedość na tém, napadł go atak takiéj miłości synowskiéj, że chciał koniecznie, aby i matka skosztowała, i gwałtem jéj część swojéj porcyi odstępował. Najcięższéj było, aby ktokolwiek ze sprzymierzeńców niedotrzymał, i dał z siebie zły przykład Dla matki istotnie trudno się było oprzeć; skończyło się na tém, iż jeden za drugim wszyscyśmy kapitulowali! Masło było wyborne, kawa gorąca; zaczęliśmy sami z siebie żartować; zrobiła się zaraz spólna między wszystkimi znajomość; ktoś zawołał o kotlet, drugi znowu o bifsztyk; śniadanie poszło przedziwnie; — słowem w najlepszym humorze pożegnaliśmy się z gospodarzem — który dobrze zaczął swój dzień, bo prócz guldenów miał jeszcze w zysku lekcyę moralną, nowy dowód niestałości i ułomności biednéj natury ludzkiéj!

Wypływały razem dwa statki, rozumie się parowe; na każdym mnóstwo ludzi; wyglądały jak dwa małe miasteczka. W jednéj chwili i na jedno zadzwonienie ruszyły obadwa, ale w dwie strony przeciwne: — nasz na prawo lekko i posuwiście, bo z wodą; drugi wolniéj, ku Strasburgowi. Widać było, że dzień będzie pogodny; słońce zaraz miało już wschodzić. Pod Mannhejmem Ren szeroki i okazały; od Iffetzheim rozchodził się często we dwie odnogi, tu złączonemi siły idzie cały jednym traktem, położył się w jedno koryto i jest istotnie rzeką wielką, piękną co się nazywa. Wkrótce wzięliśmy się bardziéj jeszcze w prawo i pokazał nam się Mannhejm jak na dłoni, z końca w koniec, — nawet tak ładnie, że możnaby go niepoznać. Patrzył nam w oczy mnóstwem swych czystych, wymytych, niemieckich okien, które już brzask wschodowy zaczynał gdzieniegdzie różować. Długo potém było go ciągle widać; stał za nami, jak zdarza się, iż stoi przyjaciel wierny, któremu ciężko odejść z miejsca, gdzie nas pożegnał — już wreszcie znikasz mu z oczu, on jeszcze czeka nieporuszony, i jeszcze patrzy w twoją stronę!... — tylko że Mannhejm, suchy i nudny Niemiec, niewart tego tkliwego porównania. Słońce zaczęło wyraźnie ruszać się z noclegu; ale jak gdyby złego humoru, żeśmy raniéj od niego wstali, bardzo jakoś leniwie z łóżka się podnosiło, i swojéj kołdry białego obłoku, co je wpół przykrywała, niechciało prędko z siebie zrzucić. Jużem się nieżartem był zląkł o pogodę; szczęściem, spojrzawszy na błękitne niebo, na zieloną ziemię, raczyło się udobruchać i wnet z całym swoim dworem milionów promieni, które się w mgnieniu oka po całym Bożym świecie rozleciały, wystąpiło jasne, pełne, świeże, jakby tylkoco i umyślnie dla nas stworzone. Pyszna to i cudowna rzecz, wschód słońca! Choćby dla tego tylko, aby go widzieć, warto jest podróżować, warto płynąć po Renie statkiem parowym. Franklin zrobił podobno kiedyś odkrycie, że i w Paryżu bywa wschód słońca: ja, który od lat kilku w tym nowym Babilonie za swoje i swoich rodziców grzechy bawię się, jestem zdania, że to śmiałe odkrycie szanownego Amerykanina potrzebowałoby jeszcze sprawdzenia. Wschód słońca dla każdego z mieszczan, czy Paryżanina, czy nawet Warszawianina, jest zawsze wielką rzeczą i fenomenem; cóż dopiero w takim kraju, na takiéj rzece, i w takiéj porze roku! Chłód rankowy prawda przejmował, aleśmy wszyscy byli na pokładzie. Słońce biegło do nas szerokim złotym pasem, twarz nam i włosy całując; my za to z naszéj znów strony odsełaliśmy mu niemniéj szeroki pas czarnego i śmierdzącego dymu, któren buchając ze statkowego komina, zwracał się właśnie na wschód i cienem swoim ciągnął się jak błoto po rzece. Patrząc na te dwa szlaki tak różne, a które długo aż póki słońce dobrze się niepodniosło, mieliśmy przed oczyma, — takto, pomyślałem, zwykle się ziemia niebu odpłaca: — za złoto, błoto! — Płynęliśmy sobie miło, cicho, jasno, prędko, bez najmniejszéj fatygi, najmniejszego wstrząśnienia, jak gdybyśmy jechali w myśli tylko, lub przez sen.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

O karmieniu i zdrowiu dzieci.

Ze statystycznych tablic przekonywamy się, iż najwięcéj dzieci umiera w trzech pierwszych miesiącach po przyjściu na świat. Wiemy, ile boleją matki nad zgonem przedwczesnym swoich dzieci i często niewiedzą, dla czego je pociechy i nadzieje przyszłe tak szybko zawodzą. Między innemi przyczynami, które dzieci o śmierć przywodzą, położyć należy nieznajomość wykarmiania ich i zaradczych środków w chorobach. Przychodzimy tedy w pomoc znajomości tych środków, i miło nam będzie, jeżeli podając je, zaradzimy niejednemu nieszczęściu, zapobieżymy niejednéj boleści matczynéj. Niech nas kto jednak nieposądzi, abyśmy mniemali, że matki nasze nieumieją wykarmiać i wychowywać

swoich dzieci, owszém mamy świetne ale nieliczne téj znajomości przykłady, lecz i tego zaprzeczyć niemożna, iż wiele, a może zbyt wiele jeszcze umiera dzieci z niestósownego ich wykarmiania. Z tych przyczyn postanowiliśmy pokrótce dodać tu umiejętny wykład wykarmiania i wychowywania dzieci, jaki uczeni lekarze podali, i to tém więcéj, iż ani podręcznych i upowszechnionych książek w tym rodzaju nieposiadamy, ani też tylu lekarzy zwłaszcza po wsiach, aby na każdy przypadek lub w nagłéj potrzebie mieć ich do rady.

Lubo pokarm z piersi matczynéj zawsze najlepszym jest i najpierwszym pokarmem dla dziecka, są jednak przypadki, gdzie sztuczne wykarmianie staje się koniecznėm. Wiele w tym względzie panuje przesądów, jakkolwiek mamy naprzeciw nim liczne dowody, — i tu w Poznaniu, że, wiele innych pominę, znajduje się jedna matka, która dziewięć dzieci, jedno po drugiém, za pomocą sztucznego karmienia wychowała, z których jedno tylko w szóstym roku na gorączkową chorobę umarło, pozostałe zaś silnie wyrosły. Między innemi następujący szczególniéj polecić możemy sposób. W pierwszych ośmiu do czternastu dniach po urodzeniu daje się dziecku ciepły mleczny pokarm, składający się w pierwszych ośmiu dniach z dwóch części przegotowanéj wody i jednéj części świeżego zebranego i przegotowanego mleka od krowy. Hufeland i inni radzą zamiast tego słodką z nieprzegotowania powstałą serwatkę. Henke przekłada pierwszą jako łatwiejszą do otrzymania. Zamiast wody polecają też słabą herbatę z kopru lub rumianku, osłodzoną cukrem i pomieszaną z mlekiem, zdaje się jednak stósowniejszą rzeczą, wystrzegać się wszystkich jako lekarstwo skutkujących środków, szczególniéj u zdrowych dzieci, aby je nieprzyzwyczajać bez potrzeby do sztucznych drażliwości. Ze względu na mleko trzeba uważać: 1) aby pochodziło od zdrowéj, dobrą paszą (nie wywarem) żywionéj i ile możności téj saméj krowy; 2) powinno być przegotowane, bo świeże sprawić może boleści; 3) można też użyć i koziego mleka, ale silny zapach odraża wiele dzieci od niego; 4) z wiekiem dziecka można coraz mniéj mleko rozczyniać, aż nareszcie po kilku tygodniach, przy dobrém trawieniu, daje się czyste mleko. Udziela się dzieciom tego napoju najstósowniéj ze szklaneczek podłużnych na to zrobionych, z zwężającą się szyjką. W otwór szyjki wkłada się mała, czysta, stósownie przykrojona gębka, obwinięta w płatek z cieńkiego płótna, ta pokarm naciąga, który dziecko ssie w miejscu, gdzie ze szklaneczki wystaje w kształcie węzełka. Szklaneczki te oprawiają w srebro, cynę, kość słoniową lub róg, a za pomocą szruby rureczka się wkręca, którą dziecko pije. Najstósowniejszy jest węzełkowaty kształt téj rurki, wkładając na nią gębkę. Szczególniéj starać się należy utrzymać szklaneczkę w czystości, gębkę i płatek jak najpilniéj zmieniać i przed każdém nowém użyciem w gorącéj wodzie wypłukać. Szczególniéj ganić wypada utrzymujący się aż dotąd zwyczaj dawania dzieciom węzełków napełnionych papką z sucharków osłodzonych, bo stąd najczęściéj powstają kwasy, niestrawność, białe krostki (grzybki), chorobliwa żarłoczność. Mocnego dziecka niezaspokoimy samém mlekiem, natenczas (w czternaście dni po urodzeniu) można prócz tego stałe dawać pokarmy. Za najzdrowszą i najstósowniejszą uważamy w tym względzie papkę ze starych dobrze wypieczonych sucharków, przegotowanych z wodą lub wodą i cokolwiek mlekiem, osłodzoną dobrym pięknym cukrem. Papki téj nietrzeba zachowywać z rana na wieczór, część odpowiednią należy świeżo za każdą razą gotować, a co pozostanie, na co innego obrócić. Zwyczajnéj mącznéj papki i innych rodzajów papek kaszowych i tym podobnych niemożemy zalecać na pierwszy pokarm dla dzieci, bo one sprowadzają niestrawność, gruczoły i t. d. Na wsi, gdzie trudno o sucharki, można bułki stare lub skórki od innego białego chleba używać, namoczywszy je przed ugotowaniem na papkę we wodzie przez kilka godzin i wyżdżąwszy z nich części drożdżowe. W Anglii używają szczególniéj wzmacniającéj mąki, zwanéj arrowroot, która dla słabych dzieci jest bardzo pożywna. Lepszym może jeszcze od téj mąki jest dextrin. Z początku daje się dzieciom téj sucharkowéj lub bułczanéj papki cztery razy na dzień po 6—10 łyżeczek od kawy, Starsze dziecko przyzwyczaić łatwo do jedzenia téj papki trzy razy na dzień, a tym czasem daje się do picia rozczynionéj mlekiem wody. Jeżeli papka tylko w wodzie jest gotowaną, można do niéj dolać mleka, które dziecko pije.

Dobrze jest gotować dla dzieci starszych nad cztery do sześciu niedziel papkę sucharkową z niesolonym rosołem, to cielęcym, to z drobiazgu, a czasem i ze słabém piwem. Henke przekonał się z doświadczenia, iż dzieci karmione regularnie naprzemian zrana papką z mleka i wody, na południe i wieczór rosołem lub piwem odgotowaném, nigdy niemiały boleści żołądka, kwasów, wzdęcia i t. d., gdy te często z picia mleka powstają. Dla słabych dzieci bierze się do mleka cokolwiek żółtka. — Starszym dzieciom w miarę wieku powiększać trzeba porcye

pokarmu. Trudno oznaczyć potrzebę właściwą pokarmu, jakkolwiek to jest rzeczą bardzo ważną, bo wykarmiane tym sposobem dzieci są bardzo skłonne do chorób, powstających z przesytu lub niedoboru pokarmów. Zważać przeto należy: 1) na apetyt dziecka, czy szybko i z ochotą jada, czyli krzyczy jeszcze po zjedzeniu, a jeżeli nieda się uspokoić, trzeba mu powiększyć porcye i uważać, czyli staje się przez to spokojniejsze; 2) na trawienie; 3) na tycie dziecka; jak długo tyje, pokarm jest stósowny i z czasem go tylko powiększa się. Po trzecim miesiącu można już karmić na południe rosołem z mięsa lub innemi pożywnemi rzeczami, a po wydobyciu się pierwszych zębów (w 30—36. tygodniu), przejść do zwykłych pokarmów dzieci ostawionych. Jeżeli w czasie wydobywania się zębów, okażą się znaki nadwątlonego trawienia, kwasu, boleści żołądka i tym podobne, zachować należy wyżéj podane środki, bo zwyczajnie niedbałość tylko jest przyczyną tych przypadków. W podobnych razach często pomagają lekarstwa i sposoby domowe; w razie kwasów, biegunki i innych tego rodzaju, pożyteczną jest dawać dzieciom kilka łyżeczek żółtka zmieszanego ze słodkiém winem i cukrem, papkę zamiast z mlekiem, z rosołem gotować, lub też w rosół wbić żółtko, ale je z nim niegotować, jeno domieszać. Dzieci sztucznie karmione zwykle w pierwszym roku są chude, późniéj dopiero nabierają tuszy.

ROZMAITOŚCI.

Szczególniejsze zaloty. Wilhelm zdobywca długo napróżno starał się o rękę Matyldy z Flandryi, nareszcie postanowił okazać dobitnie zapał swojej miłości. Zasadził się na ulicy w mieście Bruegge, powracającą Matyldę z kościoła porwał i w błoto wepchnął, podarł pizepyszne na niéj suknie, uderzył kilka razy i oddalił się. Zaloty tym sposobem doprowadził do końca. Matylda obawiając się, aby coś podobnego drugi raz się niewydarzyło, a może i dla tego, iż się przekonała o gwałtownéj miłosci Wilhelma, zezwoliła na małżeństwo.

Mody. — Paryż, dnia 29. Marca 1840. — Pięknym strojem dla Dam są szarfy z gładkiego tulu, naokoło bramowane złotem, a pod bramowaniem osadzone krążkiem marabutu.

Takich krążków używają także do osadzania tunik tulowych i do garnituru podwójnych sukien.

Nowościami są maleńkie staniki z jedwabnych koronek, głęboko wycięte peleryuki także z koronek, które na wieczory biorą — i długie lub na pół długie rękawy à la paysanne z tulu, które nad zgięciem łokcia u ręki wstążeczką atłasową się przewięzują.

Widzieliśmy suknię ślubną z indyjskiego muślinu, o trzech szerokich falbanach z angielskich koronek, które z boku w fałdy w górę były spięte. Każdy z tych garniturów upiętych utrzymywała kokardka z białych atłasowych wstążek i gałązka pomarańczowa. Pagody z angielskich koronek pół łokcia szerokie, bertka i szarfa tym odpowiednie, dopełniały stroju.

Także podobała się suknia z crêpe de palestine, biało-różowa lśniąca, z prostym stanikiem i czterobufkowym garniturem, bertą otaczającą ramiona i piersi. Krótkie rękawki trzema kutasikami złotemi, i lekką koronką zdobne. Dół sukni otaczało siedm pasków cienkich koronek. Na około stanika sznureczek jedwabny.

Korale ciągle się jeszcze utrzymują i tak się rozpowszechniły, iż dla braku w cenę poszły.

Turbany uchodzą dotąd za najpiękniejszą ozdobę głowy.

W ubiorach męzkich dawne mody wracają. Sprzykrzyły się czarne smutne fraki, i więcéj widać w fijołkowym kolorze, wyrabianych z kazimierku, z złoconemi guzikami.

Najnowsza tkanina na kamizelki jest aksamit w prążki wydatne.

Paletoty noszą białe lub jasno-niebieskie, aż do dołu zapinane. Także wracają dawniéj używane maleńkie guziczki złote do koszul.

Objaśnienie ryciny.

1. Ubiór męzki. Frak z długiemi okrągło-ściętemi połami, kołnierz szalowy, guziki lśniące. Pantalony obcisłe. Kamizelka z szalowym kołnierzem, na jeden rząd guzików zapinana. Krawat kolorowy.
2. Kapelusz z poult de soie, wstążką szeroką zdobny, pod obwodem kwiaty. Szlafroczek garnirowany koronkami. Obszerne rękawy.
3. Kapelusz atłasowy z kwiatami i półzasłonką. Szlafroczek jedwabny z podwójnym koronkowym garniturem.
4. Strój głowy z gałązek i kwiatów. Suknia z poult de soie, krepą garnirowana. Przepaska długo opadająca.

Redaktor: *N. Kamieński.*

Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*



L. Brückner sc.

14.